

Od dłuższego już czasu, o wiele dłużej niż upływająca w tym roku kadencja Władz Uczelni, z rosnącym niepokojem obserwujemy działania i zaniechania, które nie muszą świadczyć o niedocenianiu rangi dydaktyki w szkole wyższej, ale z pewnością do obniżenia tej rangi i pogorszenia jakości kształcenia prowadzą. Podobnie jak wielu pracowników naszej Uczelni nie sądzimy, że znaleźliśmy się pod tym względem w stanie zapaści. Tego rodzaju twierdzenie byłoby w swojej przesadzie krzywdzące dla tych przedstawicieli władz rektorskich, Senatu i poszczególnych wydziałów, których troska o utrzymanie przynajmniej dotychczasowego poziomu kształcenia nie podlega dyskusji. Zresztą zabieramy głos nie po to, by szukać czy wskazywać winnych, ale po to, by ostrzec, że utrzymywanie się wskazanej tendencji prędzej czy później do takiej zapaści doprowadzi. Zdajemy sobie również sprawę z okoliczności zewnętrznych, w tym również takich, które do niedawna tworzyła często nieprzemyślana i krótkowzroczna polityka kolejnych ministrów Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz rządu PO-PSL, w którego skład wchodził. Zapowiedzi zmian, będące świadectwem większej wrażliwości obecnego kierownictwa resortu na postulaty środowisk akademickich, tworzą sprzyjający klimat również dla wszelkiego rodzaju reformatorskich działań, których obszarem są poszczególne uczelnie i środowiska akademickie. Pragniemy, by nasz głos w sprawie uczelnianej dydaktyki był jako zachęta do takich działań odczytywany.

Chcielibyśmy w związku z tym wskazać na najważniejsze, naszym zdaniem, źródła zagrożeń, jakie kryją się w dotychczasowej polityce Władz Uczelni. Wymienić tu trzeba z jednej strony forsowne inwestycje, skutkiem których zwiększało się zadłużenie Uczelni, z drugiej zaś decyzje i działania, które podejmowano po to, by ów poważny dług zmniejszyć. Nikogo przy zdrowych zmysłach nie trzeba przekonywać, że rozwój uczelni wymaga inwestycji. To bardziej niż oczywiste. Natomiast z pewnością warto, a nawet należy dyskutować, czy są one w danym momencie jednakowo uzasadnione i zabezpieczone finansowo. Zwłaszcza drugi z wymienionych elementów powinien być w tego rodzaju dyskusjach najmocniej akcentowany, również zapobiegawczo - po to, by zmniejszyć ryzyko swoistego rauszu inwestycyjnego, o który łatwo zwłaszcza wtedy, gdy wydawane pieniądze nie pochodzą z kieszeni wydającego. Często daje się słyszeć argument, że inwestycje podyktowane zostały chęcią rozbudowy, wzmocnienia i unowocześnienia dydaktycznej infrastruktury Uczelni. Nie mamy podstaw, by w te intencje wątpić. Ale tym bardziej zdecydowanie będziemy pytać, jakiego rodzaju logika sprawiała i nadal sprawia, że negatywne dla budżetu Uczelni skutki inwestycyjnej werwy łagodzi polityka oszczędnościowa, która boleśnie uderza - bezpośrednio lub pośrednio - właśnie w sferę dydaktyki. Weźmy na przykład decyzję o zwiększeniu liczebności grup studenckich i, nie roztrząsając tutaj sposobu, w jaki bywa ona tu i ówdzie omijana, zadajmy retoryczne pytanie o efektywność naszego wysiłku wówczas, gdy podmiotem (jak to się zwykło mówić) kształcenia w grupie audytoryjnej jest gromada ludzka, której liczebność zamienia w fikcję

skądinąd niezbędny wymóg pracy indywidualnej i systematycznej kontroli indywidualnych wyników. Jeżeli sądzi ktoś, że sposobem na zaradzenie temu jest rozbudowany (aczkolwiek niedostatecznie koordynowany ze strony administracji Uczelni i nie w pełni zrozumiały w swojej strukturalnej jednomodułowości dla studentów) system ocen pracowników i prowadzonych przez nich zajęć („jakości kształcenia”), to możemy tylko pogratulować optymizmu. A zarazem doszukiwać się pewnej niekonsekwencji w fakcie, że bezdyskusyjne, zasługujące nierzadko na miano wybitnych, osiągnięcia dydaktyczne naszych koleżanek i kolegów w bardzo skromnym wymiarze uwzględnia funkcjonujący u nas system nagradzania, dodatków motywacyjnych oraz okresowych ocen nauczycieli akademickich. Zdajemy sobie sprawę, że tego rodzaju działalności nie obsłuży mechanizm punktacji analogiczny do tego, który pozwala na wymierną (co nie znaczy, że zawsze adekwatną) ocenę dorobku naukowego. Ale fakt, że coś nie poddaje się czynnościom buchalteryjnym, nie oznacza przecież, że owo coś ma być lokowane na peryferiach podlegającej ocenie działalności akademickiej. Nie mamy przy tym pewności, czy obowiązek gromadzenia jak największej liczby punktów, która w perspektywie zbiurokratyzowanej świadomości reprezentuje wartość pracownika naukowo-dydaktycznego, wpływa korzystnie na nastawienie do tej dziedziny aktywności, która nie daje punktowego zysku i która tylko w sferze okłoświątecznej retoryki jawi się jako usłane różami pasmo akademickiej kariery.

Być może nasza ironia jest trochę nie na miejscu wobec osób, które zachowały w sobie sporo idealizmu oraz wiary w bezinteresowność pracownika nauki, dla którego nauczanie studentów jest praktyką o charakterze misyjnym, źródłem moralnego zadowolenia i społecznych spełnień. W tej szlachetnej wierze skłonni jesteśmy upatrywać przyczyn łatwości, z jaką ścina się stawki wynagrodzenia osobom z zewnątrz, bez których – jako specjalistów-praktyków – trudno wyobrazić sobie skuteczny przebieg kształcenia. Tym jedynie możemy sobie wytłumaczyć wysokość stawek za nadgodziny, stawek, które nie są nadal zmniejszane już chyba tylko dlatego, że bardziej ich się nie da zmniejszyć. Tu również tkwi zapewne przyczyna niechęci do dyskusji na temat dodatkowego wynagrodzenia za pracę w soboty i w niedziele. Taki dodatek faktycznie nie ma sensu, jeśli przyjąć, że największą przyjemnością jest dla nauczyciela akademickiego niedziela spędzona wśród garnącej się do wiedzy młodzieży płci obojga. Powtórzyć warto: odnosimy się z szacunkiem do wiary w bezinteresowność kadry nauczającej. Jednocześnie jednak konfrontujemy tę wiarę z rzeczywistością, by dojść do wniosku, że w większości przypadków jest ona bezpodstawna, ponieważ nasze koleżanki i nasi koledzy mają uzasadnione całkowicie przekonanie, że ich aktualne wynagrodzenie za godziny niewchodzące do pensum oraz za pracę w soboty i niedziele jest rażąco niskie i jako takie nie może spełniać funkcji motywacyjnej. Nie ulega dla nas wątpliwości, że wyłącznie dzięki głęboko zakorzenionej w tradycji naszej uczelni i w mentalności jej pracowników zasadzie odpowiedzialności za efekty wykonywanej pracy możliwe jest utrzymanie dydaktyki na poziomie, którego – nie licząc rzadkich od tej normy odstępstw – nie musimy się wstydić. Ale przecież nie chodzi o to, by utrzymywać ten poziom, ale by go systematycznie podnosić – nawet teraz, kiedy osoby rozpoczynające studia w naszej uczelni są do tego gorzej niż ich nieco starsi poprzednicy przygotowani. I nie chodzi tu wyłącznie o kapitał wiedzy oraz umiejętności, ale także o coraz bardziej uciążliwe dla wykładowców braki w zakresie form towarzyskich i reguł grzecznościowych. Dla nauczycieli, którzy nie zaniechali działalności wychowawczej, jest to

poważne wyzwanie i źródło głębokiej nierzadko frustracji. Nie musimy dodawać, że raczej kiepskim antidotum w tych stanach jest wiadomość o kolejnych inwestycjach, zwłaszcza jeśli ich sens trudno powiązać z dążeniem do poprawy warunków, w jakich realizowany jest lub być powinien proces dydaktyczny.

Nie zamierzamy twierdzić, że jedyną formą działania, które mogłoby powstrzymać postępującą degradację dydaktyki, są zmiany mechanizmu wynagrodzeń. Ale też nie chcemy udawać, że ma to według nas znaczenie drugorzędne. Chodzi tu przecież także o poczucie niezbędne zwłaszcza młodszym koleżankom i kolegom, że ich wysiłek jest doceniany, a Władze Uczelni czynią wszystko, by ułatwić im zawodową karierę i stworzyć godne warunki życia. I tutaj znowu zmuszeni jesteśmy dokonywać wyboru między oficjalnymi deklaracjami a rzeczywistością, której częścią jest np. anachroniczny system rekrutacji, angażujący liczne grono pracowników nauki i skazujący ich na wiele godzin bezsensownych dyżurów w oczekiwaniu na kandydata, który mógłby być szybko i sprawnie załatwiony w ramach rekrutacji elektronicznej. Brak takich rozwiązań mówi dużo o stosunku do kandydata, a równocześnie daje powód, by z niejaką rezerwą odnosić się do zapewnień o szczególnej trosce, jaką w tej dobiegającej 70 lat istnienia uczelni otacza się jej pracownika.